Lwów, 19. Października. Nr 125. Rok 1854.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr.— półroczna **3** Złr.— kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1 ½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIECIOBÓJCA.

(Z opowiadań Antoniego Pietkiewicza.)

(Ciąg dalszy).

„Biegliśmy do chaty. Tam już było kilku sąsiadów *da* sąsiadek; odcierali octem i spirytusem, *da* ogrzewali rozpalonemi cegłami Maryjkę i Hryhorka, a dobrodziej klęczał przy trupie Ostapka i modlitwy mówił. Matka rzuciła się państwu pod nogi, i obejmując je rękami, i całując i oblewając łzami, dzikim krzyczała głosem: ratujcie! ratujcie! Nie wstała już biedna! zczerniała jak ziemia, oczy stanęły słupem, i łza nie *kanęła!*..... Przybiegła moja Olanka, by ją od stóp pańskich oderwać, i sama przy niej upadła, jęcząc i zębami zgrzytając z boleści!..... Janek tylko najmłodszy, siedział w kącie pod piecem i płakał, nie wiedząc czego, a ja, nieprzytomny, szalony, tylko włosy rwałem i piersi tłukłem pięściami!“

„I doktor, i państwo, i nasz dobrodziej, i dobrzy sąsiedzi, sami się zalewając łzami, robili wszystko co tylko mogli, by biednych chorych ratować: — wszystko napróżno! Straszna śmierć brała jedno po drugiem!... już tylko matka została i wszyscy z ratunkiem rzucili się do niej.“

„Pobiegłem do komory. Tam w skrzyni leżało u mnie ze dwa garnce karbowańców, zabrałem je w poły, przyniosłem doktorowi i ukląkłszy przed nim, jak przed obrazem świętym: panie, prosiłem — oto całe moje bogactwo, wszystka moja praca krwawa, weźcie to wszystko, tylko mi żonę ratujcie! weźcie i woły, weźcie i konie, i całą chudobę, zabierzcie sobie pasiekę, dwieście pni pasieki! i trzy sterty zboża, wszystko sobie weźcie, ot i tę siermięgę, ot i tę koszulę nawet; tylko ją ratujcie! miły, serdeczny panie! ratujcie! ratujcie! — I wysypawszy mu karbowańce pod nogi, całowałem jego kolana ze łzami.“

„Poczciwa dusza! rzewnemi zalał się łzami, i zda się duszęby oddał, żeby ją ratować!... we trojgu z państwem własnemi rękami odcierali ją i podawali jej lekarstwa, a dobrodziej się modlił. Przypełzłem do niego na klęczkach i stopy jego całując, wołałem: Ojcze! dobrodzieju! zlitujcie się nademną!... może wy jaką modlitwę znacie! może uprosicie Boga! zlitujcie się ojcze miłosierdny! — I on się modlił, płacząc i czołem bijąc przed obrazem!... Lecz Bóg zagniewany modlitwy nie wysłuchał i lekom moc odjął!... skonała biedna Hanna moja! my tylko z Jankiem zostali sieroty!...

„Nazajutrz dobrzy sąsiedzi zrobili cztery trumny, zaprzęgli po parze czarnych wołów do dwóch wozów, zabrali moje pociechy i ruszyli w drogę za księdzem z pieśnią żałobną. Zawieźli na cmentarz, i wszystkie czworo w jednym wielkim grobie pod zielonym dębem złożyli.“

„Ja sam już nie wiem, co się ze mną stało? Czy to łzy wszystkie już wypłakałem, czy serce w kamień się obróciło, czy dusza obumarła z wielkiego żalu...... jakbym nic nie czuł, jakbym nic nie widział, szedłem za grobem jak śpiący; ani łzy jednej, ani pacierza, ani jednego słówka, jakby ze skały.“

„Ludzie się rozeszli, oddawszy chrześciańską posługę; ja tylko jeden zostałem pod dębem, przy mnie poczciwy Żuczek. Widząc to ludzie, wrócili, zaczęli coś mówić, perswadować; ja nie ruszałem się z miejsca. Przyszedł i dobrodziej, i także coś mi przekładał; ja nic nie rozumiałem, jakbym nic nie rozumiał, jakbym nic nie słyszał i nic nie widział. Chcieli mię gwałtem do domu prowadzić; ja się ująłem dęba tak silnie, że żadnym sposobem oderwać nie mogli. Żuczek ich tylko pokaleczył jeszcze.

„Poszli, ja zostałem; Żuczek położył się na mogile i wył przez noc całą; ja stałem pod dębem jak otrętwiały.“

„Rankiem bez myśli, powlokłem się do chaty, niezajrzawszy do środka, usiadłem na progu; Żuczek położył się przy moich nogach, i smutnie patrząc mi w oczy, zawył czasami żałośnie.“

„Przyszła Horpyna, poczciwa moja sąsiadka, przyjaciółka nieboszczki Hanny, prowadząc Janka za rękę. Nieboże, spostrzegłszy mnie, z radością rzuciło się do mnie na szyję, zaczęło obejmować i całować, pytając gdzie matka, bracia i siostry?“

„Nagle, jakbym odżył, przejrzałem, posłyszałem i pojąłem; a serce tak zabolało, jakby je kto na wskroś ostrym nożem przebił! Zacząłem płakać głośno i zawodzić; i ani pieszczoty Janka, ani pocieszające słowa sąsiadów w żalu mię ukoić nie mogły. Płakałem dzień cały, płakałem noc całą, nie wstając z progu.“

„Nazajutrz rano przyszedł pan z panią, i po swojem

zaczęli mi perswadować i w żalu koić, i jakoś doprawdy niby lżej mi się zrobiło. Zacząłem niby to się krzątać koło gospodarstwa; ale gdzież tam mogłem co zrobić, kiedy mi światu nie było widać za łzami! Bo gdziem tylko zajrzał, wszędy przedemną stały drogie postacie mej żony i dziatek. Czy kwoczka zagdacze, czy krówka zaryczy, czy jagnię zabeczy: zaraz mi moje pociechy drogie na myśl przychodzą, łzy zalewają oczy. A tu jeszcze Żuczek nieboraczysko, słaniając się z głodu, chodzi z kąta w kątek, i ciągle wyje! Tylko jak bywało z smutku powlekę się płakać na cmentarz; to on poweseleje, zaszczeka radośnie i wskok za mną bieży, a potem położywszy się na mogile smutnie zawyje. To tak biedaczysko za Ostapkiem płakało, bo się oni taki razem zhodowali; to też i zdechło wkrótce na cmentarzu.“

„Tak szły dni za dniami; gospodarstwo marniało, chudoba ginęła; a ja, to w progu chaty, to na mogile, to z gorzką myślą, to z gorzkiemi łzami.“

„Ot jednego razu, według zwyczaju, poszedłem płakać na cmentarz. Nie wiem już, ile nocy nie spałem, ile dni prawie nie jadłem; wiem tylko, że ledwie nogi włóczyłem z osłabienia. Płacząc da rozmawiając z mogiłą i skarżąc się na sieroctwo swoje, przesiedziałem pod dębem aż do świtania, nie zmrużywszy oka, ale o świcie sen mię jakoś zmorzył a rozżalona dusza, wykradłszy się z ciała, na tamten świat poszła.“

„I zdało mi się, że z kosą na ramieniu, torbą na plecach, i z hlakiem wody u pasa, szedłem siano kosić nad rzekę. Słonko tylko co wstawać zaczynało, i ledwie połowę swego jasnego oblicza pokazało światu, a rozścielając promienie po łące, jakby jakie nitki złotej pajęczyny, nizało na nie różnobarwiste kropelki rosy, jak piękne paciorki od cudownego obrazu Bogarodzicy: a jaskółki, gzygzając raźno, chwytały je w locie z kwiateczków i ziółek. Skowronki dzwoniły, słowiczek szczebiotał, wilgi poświstywały i zazula kukała. Przechodząc koło figury uklękłem. Pomodliłem się Bogu, i jakoś mi było tak lekko, tak zdrowo, tak radośnie w sercu, że mimowoli jak ptaszę zacząłem wesołą piosnkę, zadzwoniłem w kosę kamiennym bruskiem, i wyostrzywszy jak brzytwę, zapuściłem ją w zieloną a bujną trawę, i szedłem dalej a dalej wzdłuż brzegu rzeki z pracą i pieśnią. Zdawało mi się, że już z dziesięć godzin robiłem, a słonko ciągle na miejscu stało; rzeźwiący wietrzyk skakał po łące, ptaszęta śpiewały, a miedzy mojej przydybać nie mogłem. A z każdym krokiem piękniejsza trawa na łące, czystsza woda w rzece, błękitniejsze niebiosa, milsze ptasząt śpiewy. Nareszcie wszedłem w dąbrowę i zdawało mi się, że to była moja; ale osłupiałem z podziwu, kiedy spostrzegłem, co się w niej działo.... Już ja wam tego nie wypowiem!...... musiał to być raj, miły panocze.... Upadłem na twarz oślepiony cudowną jasnością, oczarowany anielskiemi głosy, i zacząłem modlić się i płakać. Aż tu ktoś na mnie zawołał: — Wstań Koźmo! i patrzaj i słuchaj, a uważaj pilnie, co obaczysz i co posłyszysz. Powstałem. Przy mnie stał Michał-Archanioł; — poznałem go od razu, bo jak raz był taki, jak u nas w cerkwi na carskich wrotach wymalowany, ze złocistemi skrzydłami, i z błyszczącym mieczem, i w błyszczącej stalowej zbroicy“....

„Rajskiego ogrodu ja wam nie opiszę, bo z czemże go porównam i zkąd słów wezmę, kiedy na ziemi nic takiego nie ma?! Wiem tylko, że się ciągnął długo i szeroko, bo aż o brzegi nieba dokoła się opierał; a niebo to nie było zwyczajne niebo, ale przeźroczyste jakby szkło najczystsze, i widać przez nie było anioły Boże, i Apostołów i Matkę Najświętszą, i Chrystusa Pana, i Ducha Świętego w jakiejś złotej jasności, którą całe niebiosa gorzały, a która w środku niebieskiego grona świeciła najmocniej, jakby sto słońc razem!.... musiało to być oblicze samego Boga“.....

„W rajskim ogrodzie narodu moc niezliczona! u każdego jak śnieg bielusieńkie szaty, a lice jak u anioła, a oczy jak gwiazdy złote, i wszyscy, padłszy na kolana i patrząc w ową jasność wielką, śpiewają jakąś pieśń świętą, a taką miłą, a taką radośną, że wiek byś jej słuchał i wieki słuchać byś pragnął, o całym zapomniawszy świecie.“

„Jak się moje oczy oswoiły z rajską jasnością, spostrzegłem, że tu koło mnie klęczała moja Hanna, a przy niej i dziatek troje. I na nich były jak śnieg białe szaty, i lice jak u aniołów; i oczy jak gwiazdy złote, ale nie śpiewali pieśni z innymi, a w twarzy czarny smutek leżał a oczy łzami świeciły! Z żalu się wziąłem za głowę, zacząłem płakać i wyrzekać głośno: O Hanno moja! czyliż Bóg miłosierny nie zmiłował się nad tobą, że troskasz się tam, gdzie inni się radują? A ona rzekła: Bóg się zlitował, i mybyśmy się radowali z innymi; ale ty radość nam psujesz, trapiąc się i w żalu tonąc, a zabywając pracy a zabywając Janka biednego, którego Bóg tobie na pociechę jeszcze zostawił. Zostaw umarłych Bogu, a żywym służ cnotliwą pracą, i nie mogiłę łzami, ale pole poczciwym potem idź zlewać.“

„Tu otwarłem oczy..... z dęba zerwały się cztery gołąbki i nikły w obłokach; a słonko dobrze już wstało. Padłem na kolana podziękować Bogu za to, że mi zesłał duszeczki mojej żony i dziatek, by mię ostrzegły o grzechu. Ostatni raz ucałowałem i łzami zlałem drogą mogiłę i śpiesznie ruszyłem do domu. Najpierwej zabrałem od dobrej sąsiadki mojego Janka, umyłem go, ubrałem, uczesałem, zmówiłem z nim pacierz, nakarmiłem; a potem pobiegłem po wsi szukać najmitów; i znalazłszy, rzuciłem się do dworu, by pana przeprosić, żem się zaniedbał w pracy: przebaczył mi, jak dobry ojciec dziecięciu i jesz-

cze słówko pociechy powiedział. Wróciwszy naprawiłem *bezładzie* koło chaty.“

„Nazajutrz z dwoma parobkami na łące zagrałem w kosy, a sen wczorajszy ciągle stał mi w myślach i siły krzepił. Odtąd znowu wszystko poszło po dawnemu; wróciło zdrowie, i dostatek dawnem popłynął korytem, mniej tylko było radości, mniej wesela w chacie i w sercu!

„Miałem ja w tedy ledwie lat czterdzieści, i dobrzy sąsiedzi raili, bym drugi raz się ożenił, ale mi ciągle jeszcze żal za nieboszczką było!... a przytem żal było i Janka, bo to powiadają ludzie: macoszyne serce, a zimowe słonko te wszystko jedno. Podziękowałem im za uprzejmą radę, a żony nie wziąłem i sam się stałem Janczyną matką... i więcej jak matką, bo on był dla mnie i moją Hanną, i moim Ostapkiem, i moją Olanką, i moim Hryhorkiem i Maryjką moją! całą radością, całem szczęściem mojem! To też go i strzegłem jak źrenicy w oku! Bywało, czyli to w pole, czy to na łąkę, czy do lasu, czy to na tok pański, on za mną wszędzie, na krok nie odstępny; a zmała patrząc na mą szczerą pracę, wcześnie się pracy *wyuczył*, i w szóstym już roku był silny i roztropny jak dziesięciolatek, a hoży, aż miło patrzeć!“

„Smutno mi tylko było, że jak przyjdzie jesień, a zima, to on niebożątko nie ma z kim poigrać, poswawolić. Latem to się dziatwa zbierała na moje podwórko na zabawy; a on między niemi rej bywało wodzi, a nawet i starszemi komenderuje. On to i zimą nieraz wieczorami przybiegały chłopięta do mojej chaty *baraszkować da skaski* prawić; ale nie na długo. A jak bywało rozejdą się po domach, a on zostanie sam jeden, to mnie aż serce krwią się oblewa, jak na nieboraka się spojrzę! Zacznę mu prawić *to, sio*, to stare sprawy, to skazki, to zagadki; ale nie potrafię nigdy tak go rozsmieszyć, ucieszyć, jak to rówieśniki jego. I mimowoli znów mi przyjdą na myśl niebożątka moje z mogiły, i gorzka łza *kanie!*“

„Ej! myślałem sobie — żeby mi Ojciec Niebieski choć sierotę jaką darował, tak jak Artemowi staremu!“

„Artem, panocze, był to sobie poczciwy dziadyga 60. letni. Pańszczyzny już nie robił, a siedział u syna, co już i sam miał dwóch tęgich chłopaków i dwie córki zamężne. Dobrze im się działo, było i szczęście, były i dostatki, ale jak przyszła zaraza, tak jednej nocy z całej *siemienistej* chaty, sam tylko Artem pozostał, a dzieci i wnuki straszna śmierć zagarnęła od razu! Tylko co nie umarł z żalu starowina!..... Chciał potem pójść z lirą po żebraninie, ale mu nasz dobrodziej jakoś wytłumaczył, że się nie godzi po jałmużnę zdrowe ręce wyciągać, tem bardziej, że miał i zapas grosiwa niezgorszy i chudobę piękną i sterty na toku: radził, by się postarał najmitów i gospodarował szczęśliwie. Ale dziad uparł się przy swojem: ot nie, i nie! gospodarować nie chciał, pieniądze i chudobę oddał na chwałę Bożą, sterty *podarował* biednym, a sam się zrobił pastuchem.“

„Trzeciej już może niedzieli po zarazie, wieczorem siedziałem sobie na przyzbie pod chatą, huśtając swojego Janka na kolanach, a właśnie w tę porę szła trzoda z paszy. Nadbiegła i moja chudobka: Janko, choć miał dopiero trzy latka, skoczył otworzyć wrota, przynajmniej jemu się zdawało, że otworzy, i zająć do obory krówki i owieczki; a tymczasem przywlekł się i stary Artem, niosąc coś na ręku. Myślałem, że jakie jagnię zacherlało, i powiedziałem w duchu: ot poczciwy stary! nosi się jak z dzieckiem! Ale kiedy spojrzę, aż on doprawdy dziecinę niesie w pieluszkach jeszcze, i lula i przyśpiewuje, jakby niańka jaka.“

— „Dobry wieczór! — rzekłem, kumie Artemie. A co to niesiecie?“

— „Podarunek boży! Artem odpowiada. Żal Bogu stało starego sieroty, to i zesłał pociechę.“

— „Zkądże ta dziecina?

„Artem siadł ze mną na przyzbie, i tuląc kwilące niebożątko, całe przydarzenie opowiedział, a tak to było:»

«Przechodząc z trzódką pod brzozą koło figury, co ta ją ludzie od cholery postawili, patrzy, aż no leży jakaś kobiecina, ubrana coś jakby z szlachecka, a na jej łonie dzieciątko w pieluszkach. Biedaczka Bogu już ducha oddała, zsiniała i poczerniała jak ziemia, a jeszcze do serca dziecinę tuliła skośniałemi rękami, a niebożątko wpiło się usteczkami w jej zimne piersi, i biedne nie czuło śmierci! i miły mój panie, z trupa nie wyssało śmierci!... Co to, jak Bóg wszechmocny zechce poratować kogo!...

«Tymczasem kiedy mi Artem tak prawi, zeszli się sąsiedzi i sąsiadki, zaczęli się dopytywać i dziwić, zaczęli się naradzać, co z dziecięciem zrobić? I uradziliśmy wszyscy pójść do dobrodzieja, prosić by nieboszczkę po chrześciańsku pochował, dziecinę na wszelki przypadek ochrzcił, i co z nią zrobić, poradził. A nasz Artemisko jak się rozpłacze, jak zacznie wyrzekać, jak zacznie nas prosić, byśmy mu nie odbierali jego Znachodki, którą mu wyraźnie pan Bóg podarował, byśmy uprosili dobrodzieja, aby ją jemu przysądził, tak aż nam wszystkim łzy w oczach stanęły! Ja nawet, cobym połowę całego bogactwa rad oddał za tę dziecinkę, westchnąłem tylko i pocieszyłem dobrą nadzieją starego Artema.»

„Ochrzciliśmy dziewczynkę i daliśmy jej imię Zonia; a nieboszczkę jej matkę pogrzebliśmy po chrześciańsku na swoim cmentarzu, tuż przy mogile mojej żony i dziatek. Zonia dostała się Artemowi, co ją taki i do chrztu trzymał. Dobrodziej nasz chciał także wziąść ją do siebie, ale jak zaczął Artem całować go po nogach, jak zaczął płakać, jakeśmy wszyscy zaczęli prosić, by ją staremu zostawił, tak się i zgodził, i jeszcze coś niby na mamkę podarował.»

„Już tak i cała gromada chciała coś zrzucić się Artemowi na sierotkę; ale on nic nie przyjął. Uparł się koniecznie sam z siebie ją wychodować, nawet mamki nie chciał; ale za księże pieniędze kupił sobie krówkę, zrobił sysełkę, i parzonem mlekiem sam karmił dziecinę."

(C. d. n.)

GWIDO.

przez **Henryka Jabłońskiego.**

(Ciąg dalszy)

IV.

Pamiętam mówił: „Dziecię moje, dziecię!
Bom ja cię w duszy drugi raz narodził,
W zwierzęce życie wlałem ludzkie życie,
I aureolą niebieską ogrodził,
Byś mi jak gwiazda świecił na błękicie,
I jak pochodnia przed duchami chodził."

»Porzuć tę ziemię, tego pola kawał,
Bo nam potrzeba nowych apostołów;"
Jako dziedzictwo kraj trójziemny dawał,
I naglił spieszyć na duchowy połów;
„Mamy kto będzie karmił i napawał,
Lecz mało, mało godnych ludzkich stołów!"

„Dołem ciemnota, i górą ciemnota,
A w mroku senne snują się widziadła;
A stara sława świeci jak tarcz złota,
Tylko ją dzisiaj nowa rdza przypadła,
Tylko nas stara opuściła cnota; —
Stare żelazo poszło dziś na radła."

— „Mistrzu mój, mistrzu! ja chcę być aniołem,
Białym aniołem z skrzydłami złotemi,
Chcę śpiewać ziemi z ptaszętami społem,
Z serca wysnuję moją pieśń dla ziemi!"

„Oto od Boga dar muzyki wziąłem,
Ta niech do nieba będzie skrzydły memi,
Przez nią chcę serca napełniać jasnością,
Ją chcę uczynić anielskiem wołaniem,
Poznają miłość — pójdą za miłością, —
Poznają niebo — i zatęsknią za niem.
Ja zaznajomię ich z nieśmiertelnością,
I ziemię niebu w uścisk oddam graniem!"

A on mi mówił:
— „Na drodze wybranej
Pełno obłędów, wichry i zamęty;
Lecz słuchaj serca i zorzy różanej,
Bądź czysty myślą, zamiarami święty,
Pragnij, jak prorok ziemi obiecanej,
Umrzej dla sztuki, — będziesz wniebowzięty!

Nie idź z przekupniów bezduszną gromadą,
Co wziąwszy z niebios wyższe namaszczenie,
Drą je na szmaty i na jarmark jadą,
Po błocie włóczą aniołów odzienie...
Tłum chcą zachwycać swoją twarzą bladą,
Zawrotem oczu udawać natchnienie.

Ani z gromadą zastarzałych dzieci,
Dla których mistrzów pisma i imiona
Alfą — omegą, — których gwiazda świeci
Na ich pulpitach do nót przylepiona;
Którzy nie wierzą, że duch wyżej leci,
Z niemi nie pójdziesz — ich droga skończona!

Precz sąd puszczyków! — ciebie niech osądzą
Bijące serca, promienne źrenice, —
Błogosław ciszę od zachwytu drżącą,
Błogosław drżącą spojrzeń błyskawicę,—
Oczy nie zwodzą — a serca nie błądzą.

Zapal młodzieńca, zarumień dziewicę,
A starcom z piersi serdeczne westchnienie
I łzę wyciśnij — taką łzę młodzieńczą!
Młodzieńcze łona i prawicy drzenie,
Po którem zapał — i miecze zabrzęczą —
I na wtór pieśni gra już czynów pienie..
O, taka sława, to już bożą tęczą! —

Błogosławiony, kto jak ptak na drzewie,
Rodzinną pieśnią wyspowiadał duszę,
Kto zna poezją, a o sztuce nie wie;
Nie błądząc w ciemnej pojęć zawierusze,
Ducha melodji duchem przeczuł w śpiewie.
Komu muzyka jak Rusałka śpiewna,
Powiała czarem w cichą noc majową,
I rozpłakana na mogiłach, rzewna,
Jak senny anioł latała nad głową;
A w noc burzliwą, jak nocnica gniewna,
Huczała w chmurach trąbą piorunową;
A po parowach wyciem wilków głuchem!
Błogosławiony, kto melodji słucha
W naturze całej ducha wiecznym słuchem,
Kto w szacie dźwięków poznał dźwięków ducha,
I czuciem piękna stał się równie duchem,
Promiennym, jasnym.
Gołąb co tam grucha,
Na starym dębie, lasu szum ponury
I ryki trzody co idzie górami,
I ranne echo, którem mówią góry,
Krzyk orłów, wicher co leci stepami,
Wszystko to bożej harfy jest strunami,
Wszystko jest bożą pieśnią wiekuistą.

Kto duchem w pienie nie wcielał się boże,
Za czysty akord nie stał duszą czystą,
Nie padł kropelką w to bezbrzeżne morze,
Ten nie jest duchem, poetą, artystą,
I berła ducha posiadać nie może.

Muzyko! jasny, święty cherubinie!
Błogosławionaś, niebios posłannico!
Ty nad kolebką śpiewasz już dziecinie,
Na łąkę kwietną płyniesz za dziewicą,
Rolnika łany przemieniasz w świątynie,

Na polu bitwy męztwa błyskawicą,
Zapalasz duchy. —
Ty nawet na grobie
Grasz cichem, smętnem, łzawem narzekaniem,
Ty jako płaczka, gdy naród w żałobie,
Serdeczną dumą lamentujesz za nim...
Serca cnotliwe za kościoły tobie!
Jak mową duszy, każden naród graniem,
Serdeczną nótą dzieje opowiada. —

Nasz duch melodji jeszcze rozsypany,
Swieci jak gwiazda stupromienna, blada,
Huka po górach i wieje przez łany,
Z stepowym wiatrem w dumie stepów gada,
I nad mogiłą jęczy rozpłakany...

A dotąd niemasz mistrza silnej ręki,
Z natchnioną duszą, myślą promienistą;
Coby te dumy, te sieroce jęki,
Ze ał i przelał w jedną pieśń ojczystą,
Rodzoną naszą, — i sieroce dźwięki
Wyśpiewał z piersi jak melodję czystą,
Natchnioną, wielką, jak ta nasza ziemia.

Nasz duch melodji wieje pośród ludu —
Artystów serca jakiś czar zaniemia,
Zaślepia oczy. Mogliby bez trudu,
Kwiat co na własnej grzędzie się rozplemia
Podnieść — zajaśnić w błyskawicach cudu.

Ale ostrożnie młody cherubinie!
Miecz obusieczny to boże natchnienie,
Muzyka wężem zazdrości obwinie
Głowę i serce — w błękitne pierścienie...
Z głowy i serca struga krwi popłynie
Za każdy ziemski uścisk lub zachcenie.

O niej zamarzysz na łożu bezsennem,
Od ust ci słodkie oderwie napoje,
I w pocałunku ostudzi płomiennym...

Za poświęcenie znasz ty wieńce swoje?
Cierniowy wieniec pod wieńcem promiennym,
I włosiennica pod słoneczną zbroję...
Pójdziesz tą drogą?..»
— «Choćby przez płomienie!»

* * *

Odtąd muzyka była mi jak życie,
O niej myśl każda i każde marzenie,
Ona modlitwą codzienną o świcie,
Pracą, spoczynkiem.
A młode natchnienie,
Kwiliło w sercu jak w kolebce dziecię.

Czem więcej pracy, tem skąpsza zapłata,
Tem szersze w koło widziałem pustynie;
Tem prędzej nikły: młodość ma skrzydlata.
Złote uśmiechy, młodości boginie;
Tem samotniejszy stawałem śród świata,
I jako obcy przychodzień w rodzinie...
Aż zatęskniłem — Bóg wie w jakie kraje!
Byle nie w domu. —
Serce mi mówiło:
Są okolice kędy słońce wstaje —
Nie tak jak u nas, — by tylko świeciło
Temu co warzy i co na stół daje,
Nie tak jak u nas, — nad gumnem — mogiłą.

Są okolice kędy wawrzyn rośnie,
Kędy się morza świecą jasne tonie,
A słowik śpiewa wiecznie jak o wiośnie.

Pośród tych laurów, w tej uroczej stronie,
Marzyłem: pierś ma zaśpiewa coś głośniej,
I gwiazd poszukam gdy mię mrok pochłonie. —

(C. d. n.)

Posiedzenie publiczne w zakł. nar. im. Ossolińskich.

(Dokończenie.)

Z odczytanego sprawozdania okazuje się, iż zakład po długich latach przyszedł nareszcie do całkowitego prawie dochodu swego. Podzielał on losy kraju całego i wszystkich gospodarstw krajowych. Po wypadkach roku 1846 i 1848 dopiero dzisiaj przychodzą one do stanu normalnego. JW. kurator wykazał dochód całoroczny 13,000 złr. m. k. Bilansu dochodów tych i wydatków w sprawozdaniu nie było, jedynie kilka punktów wymienił, mianowicie na przykupno dla biblioteki 3,330 złr. m. k. na wydanie Lindego 3,255 złr. z których ostatnich większa połowa już w przeszłorocznem sprawozdaniu jako wydatek uczyniony wymienioną została. Prócz tego wymieniono spłacone długi w kwocie 4,000 złr. i zaliczkę na pożyczkę narodową w kwocie 500 złr. m. k. Namby się zdawało, iż do sprawozdania publicznego należy dokładne wyszczególnienie wszystkich dochodów i wydatków, bilans formalny z roku całego, podobnie jak i coroku wymienione być powinnoby, ile z nabytkiem rocznym biblioteka z końcem roku posiada skarbów piśmienniczych i innych. Ani jednego ani drugiego zaś w sprawozdaniu nie znaleźliśmy, powiedziano nam tylko, iż przeszło 3,000 złr. m. k. w kasie się znajduje, i co w ostatnim roku przybyło darem, kupnem lub zamianą do biblioteki.

Doniósł nam JW. zastępca kuratora, iż w tym roku dla ubogiej młodzieży, kształcącej się przy zakładzie podwyższono trzy stypendya z 120 złr. m. k. rocznie na 200 złr. Młodzież ta kształcić się ma dla pożytku literatury narodowej, z tego powodu kustosz ma nawet obowiązek wykładania jej literatury polskiej. Czy ta młodzież istotnie kształci się w tym zawodzie, zapytaćby można śmiało. My ze skutków wnosząc wręcz odpowiemy, że *nie*. Od tylu lat dawano stypendya w tym celu, a jeszcze z tej młodzieży kształcącej się przy zakładzie ani jeden nie wyszedł, coby się zajmował literaturą. Wszyscy prawie pozostawali urzędnikami, a nawet sam zakład z tej młodzieży ani jednego urzędnika dla siebie nie wykształcił.

Dla kształcących się jednak na urzędników są stypendya inne, stypendya zaś biblioteczne są widocznie literackie. Naszem zdaniem niestósowny wybór młodzieży do stypendyów jest jedną z główniejszych przyczyn chybionego celu. Niedobierana jest młodzież, biorąca się już sama do literatury, chwytająca za pióro z własnego popędu, której to młodzieży przy uniwersytecie lwowskim zawsze kilkunastu, i to uboższej znajdzie, a właśnie takiej to młodzieży powinien zakład podawać pomocną rękę.

Jednym z głównych obowiązków zakładu jest wydawanie czasopisma naukowego. Rozmaite pisma czasowe już od lat kilku dopominają się dopełnienia tego obowiązku. Dawniej zakład tłumaczył się brakiem funduszów; dzisiaj fondusze te się znalazły, a w sprawozdaniu ani wzmianki o piśmie czasowem nie ma. Już w przeszłym roku Czas, rachując na skład urzędników zakładu Ossolińskich, mężów uczonych i znanych powszechnie w literackim świecie wyraził nadzieję, iż niezawodnie zakład pismo czasowe wydawać zacznie. Dziennik literacki podał myśl zawiązania towarzystwa historycznego, któregoby inicyatywę wziąć powinien zakład, a którego organem mogło się stać pismo zakładowe. Nadzieja Czasu dotąd jest płonna, a myśl rzucona przez Dziennik literacki o głuche uderzyła ściany. Już w przeszłym roku w pismach warszawskich toczyła się kwestya o pismo czasowe i zarzucono zakładowi, iż ważniejsza jest, dopełnić obowiązku, włożonego nań statutami, to jest wydawanie czasopisma naukowego, niż wydanie nowe Słownika Lindego. Był to ten zarzut uczyniony z powodu, iż biblioteka tłumaczyła się brakiem funduszu, a na wydanie Słownika fundusz się znalazł. Dzisiaj to tłumaczenie się odpada, bo z sprawozdania okazuje się, iż i na jedno i na drugie funduszu-by stało.

Co do wewnętrznego porządku biblioteki przyznać wypada, iż w ostatnich dwu latach wiele bardzo uczyniono. Bez katalogu realnego biblioteka dla uczonych była jak gdyby martwym kapitałem. Praca to była mozolna, a ukończona w jednym prawie roku świadczy o wielkiej czynności urzędników zakładu. Również na uznanie zasługuje powszechne uporządkowanie dochodów zakładu, którego JW. zastępca kuratora dokonał. Czy zaś przybytek 401 dzieł w 721 tomach, z których połowę tylko przykupiono, czyli wydatek 1,000 złr. mon. konv. na przyrost książek biblioteki rocznie wyłożony, jest dla takiego zakładu, jak Ossolińskich dostateczny i odpowiedni funduszom jego, to niech raczą znawcy spraw bibliotecznych rozstrzygnąć. Prawda iż w tym roku nabyciem archiwu Mniszchów większy wydatek bo 1500 jest uczyniony. Lecz i kwota 3000 na przykupno wyłożona nie byłaby za wielka na same tylko książki, biorąc wzgląd na fundusze zakładu.

Zabezpieczenia.

(Ciąg dalszy).

A więc obowiązkiem jest myśleć o tem co po nas będzie, a tem większym i świętszym, jeżeli się zostają po nas żona i dzieci, aby nędzą przygnieceni nie klęli pamięci niedbałego małżonka i ojca.

I jestże lepszy pod słońcem na to środek, jak takie zabespieczenie pewnych mniej lub więcej znakomitych kwot, za pomocą stosunkowo nader skromnych wkładek pieniężnych. Tem co dziś nawet nie można uważać za ofiarę albo uszczerbek sobie czyniony, po latach czy kilku, czy kilkunastu zostawia się spadkobiercom mająteczek niezależny od wypadków jakie przez ten czas zajść mogły.

Rachunkowość taka zimna jest może przykra, mocno prozaiczna, ziębiąca i umysł i serce. Wszystko być może, i zapewne milej jest marzyć sobie, kołysać się po próżni ideałów, napawać się roskoszą złudzeń, jakby snem opiatycznym; ale niestety takie życie już nie dla nas. My żyjemy w wieku czysto praktycznym i zimno rachunkowym. Stosujmy się więc do niego, i uwierzmy raz, że praktyczność jest podstawą i publicznego i prywatnego życia.

Prócz tej ogólnej przyczyny o jakiej mówiliśmy wstrzymującej nas od takich zabespieczeń na wypadek śmierci, nie mało zawadzał i zawadza u nas, zagnieżdżony w kraju naszym stary przesąd, że sama myśl o śmierci, a cóż dopiero urządzenia jakieś w tem przewidzeniu czynione, przyspieszają tę niepożądaną śmierć. Przejdźmy myślą pamiątki nasze, a znajdziemy mnóstwo u nas ludzi, którzy testamentu nawet napisać się bali, a cóż mówić dopiero o jakichsić układach na przypadek śmierci lub przeżycia. Nieraz zdarzyło nam się słyszeć i widzieć ludzi rozsądnych nawet jak mruczeli i kiwali głowami gdy była mowa o jakimś kontrakcie dożywotnim między dwoma osobami uczynionym.

I każdy z nich miał cały skład anegdot potwierdzający ten przesąd:

Jak to pan A. ledwie panu B. odstąpił majątek na dożywotnią kwotę, po pierwszej zaraz racie nagle umarł, choć był zdrów jak ryba.

A pani C. gdy odstąpiła majątek swej synowej niemiała nawet czasu pierwszej raty odebrać, bo się w pierwszym miesiącu zaraz wywróciła na gładkiej drodze, i głowę rozbiła o jakiś tam kamyczek.

Przesąd ten ustaje jakoś wraz z innemi przesądami, w które byliśmy zawsze bogaci. Pomiędzy śmiesznemi, przesąd ten był zaiste najśmieszniejszy.

Przeciwnie bowiem jest to zda się prawdą psychologiczną, że uspokojenie umysłu przykłada się do zdrowia i przedłużenia życia.

Czyliż zabespieczywszy przyszłość dzieciom i żonie na

przypadek śmierci nie wstąpi do duszy błogi spokój, i to przekonanie tyle pocieszające, że los drogich istot jest już zapewniony? Mniemać-by można przeciwnie nawet, że wypłacanie każdorocznej wkładki do kassy towarzystwa zabespieczającego uspokajając umysł i sumienie, rok nowy życia i zdrowia doda do szeregu możliwych lat życia.

Prócz tych tu przywiedzionych przyczyn i powodów, odzywa się jeszcze jeden zarzucik, równie gruntowny jak i tamte.

— Kiedy to ta assekuracyja to jakaś spekulacyja tylko, to jakaś rachunkowa manipulacya. Czyż może to być co pewnego?

Trzeba zaś wiedzieć, że u nas do niedawna, każda spekulacya pieniężna, wydawała się rzeczą niepewną, rodzajem łapki zastawionej na grosz obywatelski, gatunkiem wykpigrosza. I trudno to było komu wytłumaczyć, bo nikomu rachować się nie chciało; od matematyki każdy ucieka, jak djabeł od wody święconej.

Dziś się i to przemienia pomału. Uwierzyliśmy przecię, że na rachunku i rachunkiem stoi całe życie ludzkie. Cyframi wyrabiają się, powstają i żyją najwznioślejsze pomysły, najważniejsze przedsięwzięcia, i najpożyteczniejsze, a przez to samo najszlachetniejsze dzieła.

Owoż nikt już dziś nie zaprzeczy, że zabezpieczenie na przeżycie należy do przedsiewzięć wielce pożytecznych. Towarzystwo assekuracyjne każde, chociaż powstało ze spekulacyi i rachunku, jest zakładem przynoszącym mnogie korzyści realne i moralne towarzystwu ludzkiemu. Gdyby nie spekulacyja nawet, niebyłoby powstało takie towarzystwo, i nie zawiązało by się przez złożenie kapitału na akcyje.

Jeżeli spekulacyja stała się bodźcem dla tych, co się pierwsi w towarzystwo zawiązali: korzyście z niej wynikające, stawszy się własnością i zyskiem ogółu, uszlachetniają ją, i podnoszą do godności zakładu ludzkości służącego.

Idzie zapewne nie mało o to, aby takie towarzystwo na spekulacyi zbudowane, i spekulacyją istniejące, starało się dobrodziejstwa, jakie dla niego z onej spekulacyi spływają, zwrócić o ile można na pożytek ogółu. (D. n.)

Rozmaitość.

* **Z nad Wisły.**— Już od kilku miesięcy odzywają się z różnych stron głosy przeciwko *Czasowi.* Jedni zapatrując się przedewszystkiem na artykuły wstępne redaktora głównego M. Manna, opłakujące jużto nieporozumienia pomiędzy patryarchą jerozolimskim Walergą a tamecznymi Franciszkanami, już też dokuczanie Łacinnikom, osiadłym w Palestynie, ze strony Greków i Turków, albo zatargi »Najprzewielebniejszego Arcypasterza dyjecezyi poznańsko-gnieźnieńskiej« z rządem pruskim, albo znowu spór pomiędzy władzą świecką a duchowną w Sardynii i w księztwie badeńskiem, zarzucają mu przesadną żarliwość dla kościoła rzymskiego. Inni znowu wytykają *Czasowi* sprzyjanie Rossyi, a to szczególniej na tej zasadzie, że w Wiedniu i w Berlinie utrzymuje korrespondentów prawornych. Inni wreszcie właśnie z tego wznoszą, że *Czas* nie jest ni tem, ni owem, czyli inaczej mówiąc, że *Czas* jest dziennikiem bez charakteru, bez żadnej dążności. Gadajcie sobie co chcecie; ja jednak, żadną miarą na ten ostatni zarzut zgodzić się nie mogę i owszem twierdzę, iż *Czas* ma najwyraźniejszą dążność, a tą jest psucie na zabój polskiego języka. I tak redakcyja *Czasu* nie wie albo niechce wiedzieć o nazwiskach miast, wód, gór w krajach słowiańskich; ale z gorszącem niedbalstwem używa niemieckich; jak n. p. *Memel, Gumbinnen, Tarkehnen, Insterburg, Schildberg, Oderberg.* Ormianin w *Czasie* został *Armeńczykiem!* Siedmiogrodzki Braszów albo Koruna w *Czasie* tak dobrze zwie się *Kronstadtem,* jak port wojenny tegoż nazwiska pod Petersburgiem! Co większa pisarzom *Czasu* nie chce się nawet nazwisk wyraźnie słowiańskich odmieniać przez przypadki; jak n. p. «*most pod Lipkany i Skuleny;*« «*milicyja wołoska wysłana do Busko;*« «*przybycie jenerała* Orłów.» Rzeczowniki nie odmieniają się w tym dzienniku według znanych i powszechnie przyjętych prawideł grammatyki, ale według widzimisię jego pisarzów. Uwzięli się oni szczególniej na drugi przypadek liczby mnogiej, który, zamiast żeby go w rzeczownikach rodz. męzkiego kończyć na *ów,* w *Czasie* kończy się na *i* lub *y;* jak np. *obyczai, kowali, pałacy, męży;* zamiast przyjaciół zaś czytamy tam *przyjacieli!* Przymiotniki, utworzone z nazwisk dni w tygodniu, dostały w *Czasie* drugi stopień porównania. I tak piszą tam *sobotniejszy, niedzielniejszy;* zamiast sobotny, niedzielny. Wyrazów cudzoziemskich używają ciągle bez najmniejszej potrzeby zamiast już oddawna utartych, jak np. *flaga, bresza, ewentualność, sommacya, szansa, świta* (zam. orszak) *pozytywny, negatywny, f ktyczny, dezawuować, exploatować, wyewakuować, rektyfikować* (zam. poprawić, sprostować) i t. d. i t. d. Ale *Czas* nie poprzestaje na pojedyńczych wyrazach obcych. Nieraz sadzi ich obok siebie cały szereg, jak np. «którejto *transakcyi fakt ewakuacyi* jest koniecznym warunkiem;« albo: «*Organ Bundestagu z powodu publikacyi protokołu konferencyi handlowych;*» albo: «*Brak instytutu kredytowego jest głównym kancerem* (to jest rakiem!!) *industryi tak kondycyonowanej.*» (D. n.)

* **Nowa siła poruszająca.** Francuski Monitor donosi obszerniej o nowym wynalazku Dr. *Augustyna Carosio,* «który włoskiemu narodowi nową zjedna sławę, a całkowitą rewolucyą zdziała na polu umiejętności i przemysłu.» Rzecz idzie o zastąpienie siły pary przez nową przez Carosia odkrytą siłę, nazwaną przez niego: «*Pile hydrodynamique.*« Wynalazek ten polega na tak zwanej zasadzie Faradaya, iż prąd elektryczny w prostym stoi stosunku do działania chemicznego, iż więc elektryczność roskładająca gramni wody na kwasoród i wodorod, równa się elektryczności tworzącej z kombinacyi tych dwóch gazów napowrót gram wody. Carosio uzyskał przywileja w Francyi, Anglii, Ameryce i wszystkich prawie innych państwach europejskich. Maszyna poruszana tą siłą czynna będzie jeszcze tego roku w Londynie. Buduje ją sławny inżynier Siemens nakładem towarzystwa utworzonego w Genui. Oprócz tego jenerał Morin, z polecenia Ludwika Napoleona, buduje podobnąż maszynę w Paryżu, w cesarskiem konserwatoryum sztuk i nauk: «Tak pracują, mówi Monitor, i współ ubiegają się francuscy i angielscy mechanicy w tej chwili, wprowadzając w życie wynalazek, który nadzwyczajną swą pożytecznością w krótce świat cały w podziwienie wprawi. I rzecz dziwna! Maszyna ta do wydobycia swej siły potrzebuje jedynie żywiołów, które sama własną stwarza siłą. Siła ta wprost przeciwnej natury co siła pary, nie gubi się przez opór, który napotyka. Paliwo dotychczasowe w maszynach na wielkie niebespieczeństwa naraża je, i bardzo wiele kosztuje. Utworzenie siły przez p. Carosia wynalezionej i nic nie kosztuje, i żadnemu nie podpada niebezpieczeństwu.

* **Rossyjski chleb komiśny.** Rossyanie cofając się z Wołoszczyzny, a osobliwie uciekając z Dzurdzewa pozostawili mnóstwo

oryginalnych sprzętów i zasobów, a między innemi i kilka egzemplarzy swego chleba komiśnego. Europejczycy po drogich cenach je zakupują, i posełają do domu, jako osobliwość. Pewien przebiegły Amerykanin założył z nich spekulacyę nader korzystną, a trzy bochenki chleba, wyglądające jakby pieczone były z lawy i popiołu, posłał na wystawę przemysłową do Nowego Yorku.

Przyjechali od dnia 15. do 17. października do Lwowa:

PP. Górski Maciej, z Kaszyc. Zawadzki Ignacy, z Huty. Hirschler Franciszek, z Jaśnisk. Strzelecki Krzysztof, z Płuhowa. Kułakowski Władysław, z Nowego sioła. Wilczyński Włodzimierz, z Krakowa. Czechowicz Alexander, z Kołomyi. Karasiński Antoni, z Chlebowic. Hausner Alfred, z Brodów. Pawlikowski Leonard, z Maydanu.

PP. Tustanowski Władysław, z Kurowic. Szumlański Felix, z Zurawnik. Zawadzki Stanisław, ze Szlachciniec. Starzyński Józef hr., z Mogilnicy. Jędrzejowicz Kazimierz, z Czapel, Dybowski Jan, z Sambora, Matlachowski Józef, ze Złoczowa. Zawadzki Nikodem z Krzywego. Fredro Henryk hr., z Dubanowic. Tyszkiewicz Jan, z Kalnęgo. Malczewski Julian, ze Skwarzawy.

Wyjechali od dnia 16. do 17. października ze Lwowa:

PP. Lanckoroński Kazimierz hr., do Krakowa. Czermiński Tomasz, do Klicka. Augustynowicz Bolesław i Seweryn, do Kniaża. Zagórski Karol, z Brzeżan. Geldern Teodor hr., do Złoczowa.

PP. Łoś Włodzimierz, do Dolżanki. Milewski Stanisław, do Koniuszek. Czajkowski Izydor, do Jarosławic. Skarbek Alfred, do Tarnopola. Potocki Alfred hr., do Łańcuta. Romaszkan Mikołaj, do Krakowa. Runge Jan, do Dmitrowiec. Jaruntowski Jan, do Hermanowic.

Kurs telegrafowany z Wiednia 18. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	$98\frac{1}{2}$.	Medyolan za 300 lirów	$117\frac{1}{2}$.
Augsburg za 100 złr.	$119\frac{3}{4}$.	Paryż za 300 franków	139
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	$24\frac{3}{4}$.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$118\frac{1}{4}$.	Srebra agio	21.
		Pożyczka 5% $84\frac{15}{16}$. $4\frac{1}{2}$	—.
Genua.	—.	Pożyczka lit. B. . . .	—
Hamburg za 100 tal. banco.	$87\frac{1}{2}$.	Akcye banku . . .	1248.
Konstantynopol	—.	Kolej północna . . .	$1773\frac{3}{4}$.
Liwurno.	—	Obl. ind.	$76\frac{3}{8}$.
Londyn za 1 funt szterl.	11. 36.	Nowa pożyczka z loteryą	$97\frac{11}{16}$.
Marsylia	—.	Pożyczka narodowa . .	$88\frac{11}{16}$.

Kurs lwowski.

Dzisiejszy.		Gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	33	złr	5	kr.	36.
Dukat cesarski	„	5	„	37	„	5	„	39.
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	39	„	9	„	42.
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	52	„	1	„	54
Talar pruski	„	1	„	47	„	1	„	49
Polski kurant i pięciozłotówka . .	„	1	„	21	„	1	„	22
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	„	85	„	30	„	86	„	—.

Obligacye indemnizacyjne bez kuponu 74. 30 do 74 Złr. 50 kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**